Rok II. Lwów, Sobota 9 Sierpnia 1879. Nr. 76.

DZIENNIK DLA WSZYSTKICH

CZASOPISMO ILLUSTROWANE — WYCHODZI CO SOBOTA.

Prenumerata wynosi we Lwowie:		Na prowincji (z przesyłką pocztową):	
rocznie	9 zł. 60 ct.	rocznie	12 zł. — ct.
półrocznie	4 „ 80 „	półrocznie	6 „ — „
kwartalnie	2 „ 40 „	kwartalnie	3 „ — „
miesięcznie	— „ 80 „	miesięcznie	1 „ — „

W Poznańskiem i Prusach 6 marek kwartalnie. — We Francji i we wszystkich innych krajach 8 fr. kwartalnie, które przesłać należy przekazami pocztowymi.

Z Poznańskiego i Prus można przesełać prenumeratę przekazami pocztowymi lub prenumerować w księgarni J. K. Żupańskiego w Poznaniu.

Numer pojedynczy 25 ct.

Redakcja i Administracja **Dziennika dla Wszystkich** przy ulicy Rzeźbiarskiej Nr. 1. A (Łyczaków), gdzie się przyjmuje prenumeratę i ogłoszenia. Prenumeratę z prowincji i z innych krajów przesełać należy przekazami pocztowymi franco pod adresem: Do Administracji **Dziennika dla Wszystkich** we Lwowie. — Listy powinny być frankowane.

Właściciel i naczelnie kierujący częścią literacką i administracyjną: M. D. Chamski.



MAURYCY GOTTLIEB

ARTYSTA-MALARZ ZMARŁY W LIPCU B. R. W KRAKOWIE.

Od Administracji.

Upraszamy tych szanownych panów prenumeratorów, którym się prenumerata skończyła, aby raczyli odnowić takową, przesełając należytość najlepiej przekazami pocztowymi pod adresem: Administracji „Dziennika dla Wszystkich“ we Lwowie.

WARSZAWA I ZIEMIA MAZURÓW

SZKICE SPOŁECZNE I OBYCZAJOWE

przez

M. D. CHAMSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Pomijam pieśni używane przy uroczystości dożynek, nazywanych w niektórych okolicach mazurskich wieńczynami, lub okrężnem, bo te w całej Polsce są jednego charakteru i jeżeli nie formy, to treści jednakowej; na Mazurach są one dwojakiego rodzaju: jedne tyczące się powinszowania panu dobrego plonu, drugie żartobliwe, wymierzone po większej części przeciwko oficjalistom dworskim, którzy im się naturalnie musieli dać we znaki podczas żniw, jak na przykład:

A nasz ekonom w czarnym kożuchu,
Warczał całe żniwa, jak pies na łańcuchu;

czasem przeciwko samemu panu i jego rodzinie, bo trzeba wiedzieć, że podczas tej uroczystości wolno jest dziewczętom śpiewać, co im się podoba, choćby w tych piosnkach była najostrzejsza krytyka na kogokolwiekbądź, nikt się obrażać nie będzie, a że pieśni dożynkowe śpiewają tylko same dziewczęta, najwięcej tedy pocisków wymierzonych jest przeciwko brzydkiej połowie rodu ludzkiego; to też jakby mszcząc się za to, jeden z parobczaków zaczaja się, i gdy dwie przodownice, niosąc wieńce z pszenicy i żyta w darze panu, wchodzą we drzwi dworskie, parobczak oblewa je kubłem wody, o co się dziewuchy wcale nie gniewają, owszem, byłoby źle, gdyby ich ta kąpielowa niespodzianka ominęła.

Mazur lubi tańczyć i, choć z powierzchowności jest niezgrabny, w tańcu jednak jest zręczny; dziewczyny są zwinne i dobrze tańczą, byle jakiekolwiek rzempolenie na skrzypcach, gotowe są całą noc skakać pijąc wodę, gdy się zgrzeją i nie myśląc wcale o jedzeniu. Najwięcej tańczą oberka, czyli mazurka w dwojaki sposób: na prawo, który się nazywa gładki i na lewo, którego nazywają na ocipkę. Oprócz tego tańczą zwykłą polkę, którą nazywają pulką, i drobnego, który podobny jest do polki tremblant; w niektórych okolicach tańczą szota, który to taniec podobny jest do polki galop, i trzeciaka, nazywanego w okolicach Lipna siwą kobyłką; tańczą go w trzy osoby, a taniec zależy na zręcznem przemienianiu się, zwykle tańczą go same dziewczyny. Parobczak przez cały czas zabawy tańczy z jedną i tą samą dziewczyną. Królem wszakże tańców mazurskich jest oberek, czyli mazurek; melodja tego tańca raźna i zamaszysta, przebija się we wszystkich piosnkach i pieśniach mazurskich, nawet w smutnych jest tempo oberka z silnym odcieniem rzewności; oberek zaś jest to mazur, tak upowszechniony w całej Polsce, tylko takt jest przyspieszony, gdy się tańczy oberka, czyli, jak go gdzieindziej nazywają obertasa. Na Mazurach nawet kolendy śpiewają się po większej części podług nuty oberkowej, nie tylko w chacie chłopskiej, ale i w kościele organista z radości, że Bóg się narodził, śpiewając kolendę, wycina często takiego kuranta, że dziewczynom nogi drgają i z oczu nie wygląda wcale modlitwa. Kolendy te na Mazurach rzeczywiście charakterystycznymi są utworami, śpiewają je nie tylko w kościele, ale chodzą po chatach i dworach kobiety i chłopcy wyśpiewując takowe, są one także źródłem zarobku. Noszą one zawsze charakter gospodarski, realny; wypadki codziennego życia dzisiejsze oprawione są w ramy przedhistorycznych czasów i na tle wielkich dziejowych faktów układa się prosta fabula kolendy. Ponieważ jest to pieśń oznajmiająca narodzenie Chrystusa, a zatem radość w całem chrześciaństwie ta pamiątka wzbudzić powinna, to też kolenda i w słowach i w nucie musi być wesoła. Kolendy na Mazurach są pokrewne wszystkim pieśniom mazurskim: rubaszność w humorze, prawdziwy choć nieociosany dowcip i fantazja niekiedy aż przecząca rozsądkowi — są jej wybitnemi cechami, a przy tem wszystkiem, znajduje się owa pociągająca prostota i zupełne niezwracanie uwagi na efekt, co jest najoczywistszym dowodem, że autorem takiej kolendy nie był poeta uczony, zapewne nieumiejący nawet pisać i czytać, a tylko jakiś wiejski pieśniarz, w którym talent tkwił, jak ruda złota w ziemi, potrzebująca dużo jeszcze pracy, aby zostać czystem złotem, jakiś zapewne pieśniarz włóczega, któremu Bóg nie dał dachu i regularnej łyżki strawy, ale za to serce bardziej kochające i myśl skrzydlatą. Toć Mazur powiada:

Prawda to jest i stara i szczera:
Jedną ręką Bóg daje, a drugą odbiera...

Takich kolend, o jakich wyżej mówiliśmy, można spotkać na Mazurach bardzo wiele; w znacznej części są one do siebie podobne i nawet na wielu znać, że są nowego pokroju, modelowane ze starych i popsute. Takiego barbarzyństwa dopuszczają się najczęściej wiejscy organiści, ludzie, co to niby trochę czegoś liznęli, a nic nie umieją i którzy strasznie kaleczą wszystko, co się tylko dostanie do ich ust, lub rąk, zacząwszy od łaciny, a skończywszy na pieśniach kościelnych, które często odzierają z prostoty, z poezji i z naturalnego wdzięku...

W okolicach miasteczka Drobina, cztery mile od Płocka położonego, słyszałem kolendę, którą udało mi się spisać; uderzyła mnie ona oryginalnością w pomyśle, subtelną myślą i świeżością, a przy tem formą dziwnie swobodną.

Oto jest:

Paśliśmy owieczki pod borem.
I przyszło wilczysko z toporem —
A owieczki do ucieczki
A owieczki do ucieczki
Do Pana w Betleem!
I przyszły owieczki
Do tej szopeczki —
I pokazywały swoje raneczki:
„Wilczysko nas tak pokąsał,
Kudłami się nawytrząsał
Kudłami — nad nami!“
I przyszło wilczysko do Pana,
Przyniosło na sobie barana:
„Sto owieczek udusiłem,
Sto owieczek udusiłem
Nie więcej, nie więcej!“
I kazał Pan wilka przytrzymać:
Sto batów wilkowi kazał dać
A owieczki pomagały
Jeszcze kijków dodawały
Na wilka, na wilka!
I poszło wilczysko po kweście,
Spotkało swych braci na moście:
„Pospieszajcie, mili bracia,
Czeka na was dobra płaca
U Pana w Betleem!“
I poszedł wilk koło stodoły,
A pasterz od wody gnał woły:
Dalej na wilka z kijami
Dalej gonić go z pieskami —
Tu la! la! ciuch! ciuch! ciuch!

Podobnie wesołe pieśni śpiewają na mazurach w dzień Zmartwychwstania Pańskiego — jednę taką słyszałem w miasteczku Bielsku, dwie mile od Płocka; z niej jednak udało mi się tylko jednę zwrotkę zanotować, a mianowicie:

Najświętsza Panna, gdy się dowiedziała,
Spełna sobie nalać kazała,
Oj wino! wino! wino!
Lepsze niż przedtem było,
W Kanie Galilejskiej!

Pieśń tę śpiewano w kościele przed zaczęciem nabożeństwa, gdy jeszcze księdza nie było.

Na mazurskiej ziemi wszelka religijna i narodowa uroczystość miała swojego pieśniarza, a niemal na dzień każdego świętego jest wierszowane przysłowie, którego sens tyczy się po największej części gospodarstwa, albo zmian powietrza. Dziwna to jest rzecz, iż ten mazur, który znowu wcale taki idealny nie jest, ma jednak niezaprzeczoną skłonność do poezji i, choć twarde życie daje mu się boleśnie we znaki i często kładzie w usta klątwę straszliwą, bo mazur śpiewać i kląć w żywe kamienie potrafi — niech tylko choć trochę bieda zwolni, a z pewnością zaśpiewa:

Oj ta dana — dana! dana!
Poszła bieda ukochana,
A już się tak uczepiła,
Jakby moją krewną była!..

Lubi też mazur życie swoje, *curriculum vitae*, opowiadać wierszem i układać w piosnkę — trzeba mu przyznać i w tem dosadną charakterystykę i naturalny humor. Oto, co śpiewa sam o sobie:

Urodziłem się w Kózkowie,
Ochrzcił ci mnie ksiądz w Gozdowie,
Nasypał mi w gębę soli,
I oddał mnie Boskiej woli.
I zaniósł mnie do matusi
A matusia husi! husi!
I tatulo, kumoterek —
Wyrzneli-se półkwaterek...

Z początku ja pasał woły,
Puściłem je do stodoły,
Zjadły sobie po snopisku,
A ja spałem na klepisku..
Ojciec ze mną nie żartował,
Na klepisku mnie przycisnął,
Tak rzemieniem wycałował,
Że aż rozum we łbie błysnął...
Podobała się dziewucha,
Jak jej szepnę coś do ucha,
Komplimenta, co się zowie,
Oddali mi ją ojcowie..
Jak po maśle mi się wiedzie,
Rok po roku — to syn jedzie,
Jedenastu, łepskie zuchy,
Kieby Samson, mocne juchy!..
Nie boję się ludzkiej złości,
Ani żadnej napasności,
Bo jakby mnie kto napasnął,
Toby go syn w gębę trzasnął!...

(C. d. n.)

Maurycy Gottlieb.

Gwiazda znakomitych genjuszów malarzy naszych, którzy w ostatnich latach uzyskali sławę światową, wabi co raz to nowe siły, co raz to liczniejszy gromadzi orszak koło nich. Ze wszystkich zakątków kraju spieszy młodzież do mistrzów, by kształcić siły swe, by wzbogacić zastęp naszych narodowych artystów-malarzy.

Smutny przypada nam obowiązek, poświęcić kilka słów wspomnienia jednemu z tych młodych talentów, który już w początkach nosił cechy genjalności i wiele, bardzo wiele rokował na przyszłość. Mówimy o M. Gottliebie. Oto przebieg jego żywota:

Urodził się w Drohobyczu 21 lutego 1856 r. w domu izraelskim. Już w pierwszych latach nauki w gimnazjum, okazywał wiele chęci do rysunków, ale natomiast nie zbyt pilnie przykładał się do książki. Posłany do szkół realnych we Lwowie, również pilnie rysował, nie myśląc o nauce, aż dopiero, kiedy dowiedział się, iż niezbędnym warunkiem przyjęcia do szkoły sztuk pięknych we Wiedniu jest ukończenie 4tej klasy, przysiadł do książek i w Stryju złożył egzamin. Będąc dobrze przygotowanym w rysunkach, gdyż we Lwowie rysował pod kierunkiem J. Godlewskiego przez 2 lata, nie znalazł trudności we Wiedniu. Pracował gorliwie rysując to z modelów, to z natury i w tym, i w owym kierunku nie wiedząc początkowo jakiemu rodzajowi malarstwa ma się wyłącznie poświęcić. Razu jednego wszedł do sali, w której wystawiony był obraz Matejki: „Rejtan“. Stanął przed tem znakomitem płótnem, wpatrzył się weń i z rozwartemi oczyma stanął, jak wryty. Nie mógł oczu oderwać od Rejtana. Blada twarz jego była jeszcze bledszą, a ogniste oko, iskrzyło się namiętnie. Oto chwila stanowcza w jego życiu. Odtąd zwrócił się w malarstwie wyłącznie na pole historyczne, marząc nieustannie o tem, ażeby módz pracować pod kierunkiem Matejki. Zaczął studjować historję polską i z owej to epoki pochodzą obrazy słabsze jeszcze, ale wiele rokujące: „Albrecht brandeburgski, składa hołd Zygmuntowi I.“ „Krzyżacy proszą przez posłów Ferdynanda, Zygmunta Augusta o pokój“. „Scena z historji Dymitra Samozwańca“ i kilka innych szkiców, które znajdują się u rodziców artysty.

Z Wiednia udaje się Gottlieb do Monachium, gdzie pracuje nad obrazem p. t. „Schylok i Jessika“ (sprzedany w Warszawie), który na wystawie tamże wielkie uzyskał uznanie. Wkrótce powraca znowu do Wiednia, gdzie w pracowni p. Angellego wykonuje obraz: „Urjel Acosta i Judyta van de Straten“ — również w Warszawie zakupiony. Obadwa obrazy, oraz portret artysty w stroju beduina widzieliśmy na wystawie we Lwowie w r. 1877. Obrazy te zjednały artyście już sławę do tego stopnia, iż niejaki p. Bruckman zaprasza go do Monachium, ażeby wykonał 12 obrazów do dramatu Lessinga „Nathan der Weise“. Po przyjęciu tej propozycji powraca do Wiednia gdzie w Nationalhotel, pracuje nad obrazem większych rozmiarów: „Żydzi modlący się w bożnicy“. Zachęcany powszechnie, udaje się do Rzymu, gdzie korzysta wiele z rad naszych genjalnych mistrzów Matejki i Siemiradzkiego. Licznemi studjami zajęty nie przestaje myśleć o tworzeniu, zaczyna pracować nad obrazem z „Pana Tadeusza“: „Jankiel grający na prośbę Zosi“. Po kilku miesięcznym pobycie powraca do kraju. Jedzie do Krakowa z zamiarem dłuższego pobytu, bo chciał urzeczywistnić swe marzenia, chciał pracować pod okiem tego, którego prawie ubóstwiał, pod okiem Matejki. Natychmiast zajął sie kontynowaniem zaczętej sceny z „Pana Tadeusza“ pracując równocześnie nad innym dziełem: „Chrystus w Kafarnaum każący“. Obadwa obrazy niestety niewykończone.

Wśród takiej pracy zaskoczyła go w 23 roku życia śmierć nieubłagana i zamknęła te oczy, które z bolem spoglądały na rozpoczęte płótna.

Było to w roku 1877. Maurycy przyjechał na czas wakacyj do Drohobycza, gdzie pomimo skwaru pracował w sali szkoły żeńskiej. Wszedłem do tej jego zaimprowizowanej pracowni. Wszędzie pełno porozpoczynanych płócien, sześć obrazów z „Nathana“ już prawie wykonanych, a oprócz tego niektóre pomysły dopiero kredą na płótno rzucone. Przed wielkiem płótnem stał artysta i swojem iskrzącem się okiem wodził po twarzy Chrystusa, którego sąd obraz przedstawiał. W ciągu rozmowy zwróciłem uwagę jego, iż w rozpoczętym obrazie wpływ Matejki, o którym mówiliśmy, widoczny. „Tak ja widzę to i przyznaję się do naśladownictwa, ale pracuję bardzo nad tem, ażeby obraz ten był dowodem, że Matejko ojcem polskiego malarstwa“.

I pracował szczerze, a kiedy czuł, iż siły mogłyby go opuścić w ciągu pracy, odłożył to płótno na później, kształcąc się u stóp Wawelu, a marząc już o nowem dziele, którego szkic tylko wykonał, treścią tego obrazu: „Kazimierz Wielki przyjmuje żydów do swego kraju“.

Jeżeli nam wolno sądzić o przyszłości człowieka, z tego, co zdziałał dotąd, to rokowaćbyśmy mogli zmarłemu najświetniejsze nadzieje. Był to pierwszy artysta izraelita-polak. Przebija się to i w jego działaniu, zaczął od typów i przedmiotów wschodnich i hebrajskich, zaszkicował przyjęcie żydów do Polski, tu już przyszedł do chwili, w której żydzi powinni byli stać się naszymi współobywatelami, a malując Jankiela wstąpił już najzupełniej na narodowe pole. Niestety droga jego przecięta tak wcześnie. Straciła nasza sztuka nie mało, tracąc artystę, który już w 20 roku dla swych dzieł pozyskał takie uznanie, jak najpochlebniejsze sądy monachijskich i wiedeńskich artystów. Straciliśmy nie mało, bo był to jeden z tych zacnych izraelitów, którzy prawymi byli polakami.

Cześć jego pamięci!

Zorjan.

Kronika krajowa.

† W dniu 1 sierpnia zmarł w Warszawie Kazimierz Władysław Wójcicki, przeżywszy blisko 80 lat wieku. Był to jeden z najstarszych i najbardziej popularnych literatów polskich. Urodził się w Warszawie, ojciec jego był przybocznym lekarzem Stanisława Augusta. Przez pół wieku ś. p. Wójcicki skrzętnie pracował na polu literatury ludowej; rzeczy swojskie kochał całem sercem i wyszukiwał w nich najpiękniejsze strony. Przez długie lata był kierownikiem „Bibljoteki warszawskiej“, opracował: „Historję literatury polskiej“, znakomite dzieła p. t.: „Cmentarz powązkowski“, „Warszawa i jej życie umysłowe“, a jako współpracownik wielu pism, napisał mnóstwo rozpraw i wspomnień. W wypadkach 1863 r., gdy ówczesny rząd dał mu dymisję za objawy gorącego patrjotyzmu, ogół dał mu dowody uznania, wybierając go prezesem listów zastawnych w Towarzystwie kredytowem ziemskiem; później wydano książkę zbiorową dla uczczenia jego pięćdziesięcioletniego jubileuszu pracy literackiej.

Wkrótce zamieścimy wizerunek zmarłego; w jego pamięci czcimy zarazem naszą świętą i nieskalaną przeszłość polską, którą Wójcicki tak ukochał i której skarby pragnął przekazać w spuściźnie następnym pokoleniom.

Dzienniki zagraniczne donoszą, że wszędzie ustaliła się pogoda. Prawdopodobnie będziemy mieli bardzo piękną jesień.

Dowiadujemy sie, że już w październiku zacznie funkcjonować tramwaj po ulicach Lwowa.

Z wielu stron Kongresówki donoszą, że ostatnie deszcze zepsuły nietylko siano, ale i pszenica ucierpiała. — Żyto też w wielu miejscach porosło.

Z Krakowa piszą nam:

Jeżeli kiedykolwiek w Krakowie jaka kwestja poruszyła żywo umysły naszych poczciwych podwawelskich synów, jeżeli o czemkolwiek mówiono z zajęciem, to ni-

*

gdy tak gorąco jak dziś o przeróbce Sukiennic. Sukiennice!! wyraz ten, od początku istnienia tego gmachu przez lat 600 nie był tyle razy wymówionym, ile obecnie przez jeden dzień. Sukiennice zajmują bez wyjątku wszystkich, tak tych, którzy z zapałem podpierają nowo wzniesione, a już popękane sklepienia, jak również tych, którym jest obojętne, czy gmach ten stoi, lub nie. Mówią, aby powiedzieć: „i ta rudera kosztuje tyle pieniędzy“. Wieleż by gmachów piękniejszych i użyteczniejszych stanęło za te krocie?! Ztąd rozpoczyna się dysputa. Nie mówię tu już o ojcach naszego miasta, bo dla nich stały się Sukiennice prawdziwym katarem żołądka, i jeżeli ich jest sześćdziesięciu, to dziś łatwo możnaby znaleść pięćdziesięciu pięciu, którzy w swojej poczciwości gotowi nawet do przysięgi, że zawsze byli przeciw restauracji tej starej rudery.

Dziwny bo, oryginalny pomysł konserwowania zabytku starożytnego w podobny sposób. Upstrzony ten gmach w wieżyczki, kule, kuleczki i poprzyczepiane ołtarzyki w indyki, koguty i tym podobne dziwolągi, robi prawdziwie wrażenie sędziwego starca ubranego w spięty surducik, w obcisłych lakierkach, w cylindrze na głowie, na którym jeszcze dla efektu umieszczono kilka piór. I paraduje ten starzec po rynku na pośmiewisko ludzkie, modląc się w duszy za głupotę tych, którzy z niego błazna zrobili. Lecz stał starowina przez dwa lata spokojnie, trzymając się, jako tako na podpartych fundamentach, aż w trzecim znudzony, czy osłabiony nowymi dodatkami na swoich barkach, zaczął upadać na jedno kolano, i nie daj Boże, aby na pociechę jednych, a smutek drugich, nie runął cały.

Koniec końcem, ospały nasz ludek dzięki na ukończeniu Sukiennicom zaczął mówić, dysputować i gryźć się po trochu, zgadzając się wreszcie na to, że Kraków spłodził nowego smoka, którego by warto ustawić w jakim gabinecie architektonicznym, aby uczył, jak się budować nie powinno...

X.

Piszą nam z Kamionki Strumiłowej:

Temi dniami wysłany komisarz sądu obwodowego zasuspendował tutejszego sędziego p. D. z powodu znacznych zaległości sądowych spraw. Boleśnie dotknęło to wszystkich mieszkańców tutejszych, bowiem, chociaż p. sedzia nie należał do zbyt energicznych, jednakowoż nie można go całkowicie winić, gdyż już poprzedni naczelnik sądu, który w Pradze umarł, był bardzo powolnym i chorobliwym, opuszczał się w służbie, a nadto wiadomo jest, że tak ludny powiat, jak kamionecki miał dłuższy czas tylko dwóch urzędników i nieporządki w tym sądzie jeszcze przed p. D. były głośne. Na ratunek powiatu zesłano przed kilku laty znanego z energji adjunkta p. Franka, żeby zasłaniał swoją osobą nadszarpaną reputację sądu kamioneckiego.

Byłoby to niesprawiedliwem — gdyby zresztą zacnego i sprawiedliwego sędziego, obarczonego liczną rodziną, za cudze winy z urzędu usuwać, któremu li tylko nieporadność zarzucają, a znanego z prawości; kto wie, czyby tu i Salomon, jako sędzia był poradniejszym?!...

Otrzymujemy następujące pismo:

Lipnica 4 sierpnia 1873.

Szanowna Redakcjo! Prosimy uprzejmie o zamieszczenie następującego sprostowania w łamach „Dziennika dla Wszystkich“.

W korespondencji z Piwnicznej z dnia 3 lipca 1879 r., umieszczonej w nrze 11tym „Dziennika dla Wszystkich“ napisano, iż Jan i Wincenty bracia Jarosieńscy płacili p. Leonowi Górzowi od pożyczonych 100, lub 200 złr. procentu po sześć złr. miesięcznie.

Otóż oświadczamy, że całe powyższe doniesienie nie zgodne jest z prawdą i równie jest dla nas, jak i dla p. Górza ubliżające, ponieważ przedstawia nas w świetle nierozsądnych, iż pożyczamy na tak wysokie procenta, które nas do ruiny majątkowej przyprowadzićby musiały.

Podpisani są przekonani, że Szanowna Redakcja w interesie prawdy, powyższe sprostowanie umieści w najbliższym numerze „Dziennika dla Wszystkich“.

Z należnem poważaniem

Jan Jarosieński
Wincenty Jarosieński

Zamieszczając powyższe oświadczenie, zauważyć musimy, że panowie Jarosieńscy zaprzeczają tylko, że na 6% miesięcznie nie pożyczali, — ale bynajmniej nie zaprzeczają pożyczki, tylko z powodu łatwo zrozumianych wpływów, zamilczają o istotnej wysokości procentu. Korespondent więc nasz podał może za wysoką stopę procentową, ale sam fakt był prawdziwy.

(Przyp. Redakcji).

Dla pp. towarzyszów sztuki drukarskiej mamy bardzo przyjemną wiadomość, a która dotyczy czcionek drukarskich. Dotychczasowe, bowiem, czcionki, są dla zecerów, jako zmuszonych oddychać ciągle powietrzem, które jest zatrute pyłem ołowianym, nader szkodliwe.

Otóż mogą one być zastąpione nowo wynalezionemi czcionkami, wyrabianemi ze szkła twardego.

Odbyte z niemi doświadczenia, wypadły jak najpomyślniej, a według ogólnego zdania, są one i tańsze i trwalsze, niż ołowiane, przeto nie ma wątpliwości, że jak tylko wejdą w użycie, właściciele drukarń nie omieszkają z nich korzystać.

Jedna z fabryk paryskich już otrzymała patent na ich wyrabianie, idzie teraz tylko o to, ażeby jak najprędzej dostały się i do nas.

Plotki i nieplotki.

* — Proszę pana, majster mnie przysłał po pieniądze za dwie pary butów. Już od trzech miesięcy chodzę, i nie mogę odebrać tych kilku reńskich.

— Et głupi jesteś razem ze swoim majstrem i z pieniędzmi! W Warszawie, gapiu, są tacy szewcy, którzy literatowi sami posełają buty — rozumiesz? A tu co?.. za głupie dwie pary butów łazi mi ciemięga i upomina się!

— Ale kiedy to proszę pana, majster panu butów nie przysełał, tylkoś pan sam je wziął ze sklepu.

— No, no... no! idź do djabła!

* Hrabiego Fredry (syna) kalosze pobudzają ludność petersburgską do serdecznej wesołości. Żaden jeszcze humorystyk na całej kuli ziemskiej nie doczekał się tego, aby kalosze jego wzbudzały śmiech i wesołość!

* Przy obiedzie.

Mąż. (Powstając od stołu): Ja tej kucharce łeb roztrzaskam za jej gotowanie. Od tygodnia jeść w domu nic nie mogę!

Żona. Oh mój Boże! Czyliż człowiek jedzeniem tylko żyje!

* Przed obrazem Matejki.

— To panie bitwa! — aż miło!

— Ale kiedy to wszystko nie prawda!

— Nie prawda? — Jakto?

— No juści — bo zkądże Matejko może wiedzieć, jak oni tam byli wtedy ustawieni, przecież jego tam nie było.

— A kto wie, może i był!

* Ze wsi.

— Jeżeli mój Macieju, deszcze tak dalej lać będą, to w zimie wszystko bydło djabli wezmą...

— Niechby ino Pan Bóg wielmożnego dziedzica w dobrem zdrowiu zachował — odpowiedział karbowy.

* W sklepie krawieckim p. Niemczynowskiego:

Wchodzi szlachcic, wąsy sumiaste, twarz ogorzała, oko łagodne i mądre, na ustach błąka się uśmiech sarkastyczny:

— Proszę o spodnie gotowe...

Przymierzywszy je:

— Ależ to ogromnie wąskie...

— Przepraszam pana dobrodzieja, teraz taka moda...

— A niech ją tam taką modę...

— Trzeba iść z duchem czasu panie dobrodzieju — robi uwagę krawiec.

— A! wybacz pan, w takich wąskich i ciasnych spodniach ja przynajmniej, nie zdążę iść za tym duchem czasu...

* Z jednego, z bardzo nielicznych miast w Galicji, w których się znajdują księgarnie, donoszą nam następującą plotkę, czy nieplotkę:

Pani księgarzowa, urodziła panu księgarzowi syna. Uradowany ojciec, chcąc podzielić się szybko ze wszystkimi znajomymi tą wiadomością, postanowił ogłosić o tem, na sposób zagraniczny w gazetach, i napisał taki inserat humorystyczny:

„Kochana moja żona obdarzyła mnie w d. 10 b. m. nowym, bardzo cennym artykułem“.

Tak przygotowany inserat pozostawił na pulpicie. Młody subjekt przeczytał w nieobecności pryncypała inserat, i dopisał na końcu: „którego autor jeszcze nie znany“...

Księgarz zobaczywszy dopisek — inseratu do gazet już nie posłał — co się dalej stało — nie wiemy.

Bitwa pod Grünwaldem

obraz Jana Matejki.

I.

Stoimy przed nowym tworem olbrzymiego genjuszu króla naszego malarstwa Matejki: przed „Bitwą pod Grünwaldem“. W skutek braku miejsca, ustawiono obraz tak, iż nie można go w pełni obejrzeć, i nie olśniewa od razu widza całym swym rozmiarem.

Pierwsze wrażenie jest nieokreślone, nie pochwytne; oko nie może wytrzymać takiego bogactwa, takiej świetności kolorytu. Zewsząd cisną się postacie zbrojne, wszystkie odziane, jak najpiękniej, najświetniej, o! bo to uroczystość wielka, to bój za wolność ojczyzny! Wzrok błądzi po tych rycerskich postaciach, błąka się nie mogąc wytrzymać grozy bitwy w całej pełni, i tu, i tam spojrzysz, dopóki cię nie uwięzi postać szkarłatem okryta, co z podniesionym mieczem nie walcząc, pędzi na dzielnym rumaku wśród pola bitwy. To książę Witold. Ta postać ześrodkowuje całą myśl w sobie, ona, acz zdaje się zupełnie bierna, skupia około siebie całą akcję. Patrzymy na tę postać, która apoteozuje bohatera walczącego za ojczyznę, bohatera przeświadczonego o słuszności sprawy, za którą walczy, a przez to pewnego zwycięstwa, i dopiero teraz rozumiemy myśl twórcy obrazu.

Pominąwszy znakomitość kolorytu i ugrupowania, właściwego Matejce, zwracamy uwagę na ideę, która oświetla cały obraz, która promienieje tu z każdej postaci. Wiecznie ta sama, a wiecznie nowa: p o t ę g a m i ł o ś c i O j c z y z n y i ś w i ę t o ś ć s p r a w y, z a k t ó r ą w a l c z y m y. Upostaciowanie tej idei w obrazach z różnych epok dziejów, oto zadanie malarza historycznego, zadanie, którego Matejko pierwszy dokonał. Spojrzyjmy na „Bitwę pod Grünwaldem“, a ujrzymy ideę tę tryskającą nie tylko w postaci św. Stanisława, który wzniesiony nad hufcami polskimi modli się o wolność Ojczyzny, o złamanie potęgi nam wrogiej, ale również z każdej grupy składającej ten obraz. Wszędzie, gdzie dwu tylko widzimy walczących, jaśnieje w wzroku naszych odwaga wypływająca z świętości sprawy, za którą walczy, w oku drugiego widzimy dzikość barbarzyńcy. Wśród srogiej bitwy, odbija się na obliczach naszych bojowników swoboda, niewinność, a wzrok jasny pozwala zajrzeć, aż na dno duszy, gdzie widzisz prawość, miłość Boga i Ojczyzny, a w twarzach tłuszczy krzyżackiej maluje się trwoga bezbożników, ohyda i niecność ich czynów, sprośność ich życia i szatańtwo myśli, która nimi kieruje. Kiedy zastęp nasz śmiało, jak w tany idzie w bój, kiedy w każdym ruchu, w każdem spojrzeniu, w każdem uderzeniu widać pewność zwycięstwa, widać, że to rycerze, którzy z pieśnią „B o g a r o d z i c a“ na ustach, idą na miecze i oszczepy nieprzyjaciół, to w ruchach krzyżaków widoczna niepewność, przechodząca aż w trwogę dręczącą człowieka, który nie wierzy w nic, zadaje każdym czynem kłam godłu, który nosi na mieczu i szacie. Walka krzyżaków, to walka zaprzedanych szatanowi, przed którymi otwiera się piekło.

Taki kontrast postaci walczących, taki kontrast idei, które do walki z sobą wystąpiły przedstawia najdokładniej w jednym obrazie dzieje narodu naszego w walce z rycerzami krzyża. Ten jeden obraz wypowiada więcej, niźli całe tomy pamiętników i dzieł historjozoficznych, to jedno płótno uwiecznia zapasy narodu polskiego z hydrą, wykarmioną pieniędzmi Europy, a łaknącą wiecznie naszego mienia i krwi. Jest to epizod z dziejów naszych najkrwawszy, a doniosłość jego olbrzymia, bo stugłowa hydra krzyżacka zmieniała postać swą często i pod nową postacią do nowej występowała walki — do walki, która trwa po dziś dzień. Matejko, jakby zaczarował w swym obrazie całą tę walkę, bo on przedstawia nie tylko bitwę pod Grünwaldem i zwycięstwo Polski, ale i te zapasy sił obustronne. Z jednej strony męstwo, odwaga, prawość i otwartość — z drugiej siła, chytrość, nikczemność i podstęp. Przeciwieństwa te stanowiące materjał ciągłych bojów odbito na wieki w twarzach walczących.

Matejko w tem jednem płótnie dokonał dzieła jakiego mu historycy pozazdrościć mogą. Nam usiąść z „Grażyną“ i „Wallenrodem“ u stóp tego obrazu i uczyć się dziejów potężnej naszej Ojczyzny walczącej z rycerzami krzyża i miecza. (D. n.) *Zorjan.*

STRACENIEC

POWIEŚĆ

przez

F. Jeske-Choińskiego.

(Dokończenie).

Powtórnie drgnęły usta chorego, ale teraz usłyszeli obecni kilka słów francuskich.

— Farceur! Les enfants perdus ne meurent pas. Savez vous, ma belle Sidonie...

Usta poruszały się jeszcze, ale głos ustał.

— Zapewne to jeden z tych Francuzów, o których „Dziennik“ pisał, że przybyli do obozu Mieleckiego — rzekł pan Kwiatkowski. Biedny! Czy obóz rozbity, czy co?

— Żydek jakiś przejeżdżał wczoraj wieczorem przez Kwieciszewo i opowiadał, że słyszał za granicą w okolicy Ślezina głośne strzelanie — dorzucił doktor.

— Niech pan Bóg broni, żeby i ten obóz miał być rozbity.

— Niech Pan Bóg broni — dodał Plewkiewicz — swego pana wierne echo.

— Chwilowo nie możemy nic robić — zaczął znów doktor, odbywszy jeszcze raz rewizję pulsu, serca i skroni — trzeba odczekać, co się stanie.

Kiedy lekarz z gospodarzem domu chorego opuścili, stanął rządzca nad łóżkiem i myślał, czem tu chorego ożywić.

— Słyszysz, asanna, mnie się zdaje, że ten doktor bredzi. Przyniesno ty z gościnnych pokojów kilka kołder, połóż je wszystkie na chorego, potem wal na kominek drzewa, ile się zmieści, a może się chory spoci. Nie ma to jak poty; no, żywo, asanna, nie stój.

Asanna nie stała, bo kiedy Plewkiewicz Kazimierza otulił, dodał:

— A teraz pilnuj asanna, aby chory kołder nie odrzucił, a gdyby się miał przebudzić — pędem, co tchu po mnie, będąc w stodole.

I bez tego rozkazu byłaby Joasia dopilnowała chorego, bo i dla niej był powstaniec świętą osobą, a do tego młody i ładny panicz. Kiedy rządzca wyszedł, dorzuciła do ognia kilka trzasek, aby szybciej płonął, a otuliwszy chorego jeszcze lepiej, usiadła na krawędzi łóżka, nasłuchując z bijącem sercem, czy znów nie przemówi.

Kazimierz milczał i leżał jak nieżywy. Po kwadransie zaczęły na czoło jego występować wielkie krople potu, które się szybko mnożyły, kąpiąc całą twarz. Pierś podniosła się ciężko i opadła z westchnieniem.

Młody Artakserkses tymczasem rozmyślał także, w jakiby sposób powstańca rozbudzić. Chłopczyk miał swoją własną medycynę.

Chodził po dziedzińcu. a mówił;

— Głupstwo, wojak nie może umrzeć w łóżku, jeszcze by też. Kto od prochu ma zginąć, od prochu ożyć musi. Tak, znakomicie!

I roześmiał się do swojej myśli. Widząc, że ojciec z doktorem po dziedzińcu o kilka set kroków od niego się przechadza, pobiegł do kancelarji, wziął nabite rewolwery i wrócił przed oficynę. Tu stanął o kilka kroków od okna, za którem Kazimierz leżał i wybrawszy sobie cel na dachu, rozpoczął ogień rotowy, wołając na całe gardło:

— Kto od prochu ma zginąć, od prochu ożyć musi.

— Czyś oszalał? — pytał ojciec, nadbiegłszy z doktorem.

Ale pan Artakserkses strzelał i wołał, a kiedy mu Plewkiewicz podstępem tył zajął, wypalił jeszcze dwa razy i wrzasnął:

— Wstawajże, panie powstańcze, bo kto od prochu ma...

— Cicho, miejże litość nad chorym, krocset — zaklął ojciec.

Kiedy się to dzieje na dworze, mocuje się Joasia z Kazimierzem. Już po pierwszym strzale panicza, zerwał się Kazimierz i usiadł w łóżku.

— Moskale, cel, pal! — wołał — z zimną krwią, naprzód straceńcy.

Kiedy się strzały powtórzyły, chciał wybiedz z łóżka, ale Joasia rzuciła się na niego i schwyciwszy silnem ramieniem przyciskała do materacu.

— Bój się Boga, panie powstańcze, cały w potach, kto widział, śmierć pan połkniesz.

Ale Kazimierz bronił się kołdrom i objęciom panny, wołając:

— Nie damy się, Wojtek, tego tam, naprzód wiara...

Właśnie nadszedł pan Kwiatkowski z resztą towarzystwa.

— A co, nie mówiłem! Kto od prochu ma zginąć, od prochu ożyć musi, puf, paf!

Tak mówił panicz i tańczył po izdebce z radości, dumny, że przebudził powstańca.

Na widok wchodzących przestał się Kaźmierz bronić. Spojrzał, przetarł oczy, odsunął włos z czoła i wyrzekł:

— Gdzież jestem?

— W Kwiatkowie, w moim domu miłym gościem — odparł gospodarz.

— Kwiatkowo.

— Wieś pod Kwieciszewem.

— Kwieciszewo? Nie słyszałem takiego nazwiska w Polsce.

— Jesteś pan w Wielkopolsce, w Prusach, jak to dziś mówią.

Kazimierz pocierał czoło.

— O, teraz wszystko wiem — jęknął — wszystko, wszystko... Mielecki, Callier, Lejard ranni, straceńcy zginęli, obóz rozbity, jestem ostatnim, ostatnim... bitwa pod Tartakiem... Ślezinem... odwrót... noc... Niemiec... straceńcy, gdzie jesteście... ostatni.

Zakrył twarz rękoma. Otaczający łóżko Polacy milczeli, bo domyślili się reszty.

— Ostatnim jestem, ostatnim! — zawołał Kazimierz z takim bólem, że obecnych dreszcz przeszedł. Przeklęcie! Walecznych synów straciłaś, Polsko, wszyscy poginęli, a ja żyję, ha, ha, ha...

Śmiech okropny rozległ się po oficynie, a wracające jego echo napełniało serca obecnych przestrachem.

Kazimierz opadł na poduszki, zamknął powieki i zasnął powtórnie Doktór powtórzył zwykłą rewizję i orzekł:

— Zapalenie mózgu.

. . . .

Minął marzec i kwiecień. Po rozbiciu obozu Mielęckiego ustał w województwie mazowieckiem i kaliskiem ruch powstańczy na dłuższy czas. Wielkopolska sposobiła nowe posiłki dla Królestwa. Nowy obóz zebrał się już w Sławoszewskich lasach niedaleko od Pleszewa, ale wpadł prawie cały w ręce Prusaków, z winy Taczanowskiego, który zapomniał, że pierwszą cnotą powstańczego wodza, bywa pośpiech w działaniu. Taczanowski ociągał się, żegnał w domu, namyślał się, a tymczasem nadeszli Prusacy i rozpędzili oddział na wszystkie wiatry. Jedyny Brecher przebił się w dwieście ludzi przez żelazny kordon i stanął szczęśliwie w Kaliskiem. Oddział Brechera był zawiązkiem obozu, który stanął później pod Ignacewem do krwawej z Moskwą rozprawy. — Rozbici powstańcy spieszyli teraz pojedyńczo do Brechera, który szedł na Pyzdry do województwa mazowieckiego. W pierwszych dniach maja dowodził Brecher obozem, składającym się z tysiąca ludzi. Kwiat młodzieży wielkopolskiej znajdował się w tym oddziale. Teraz dopiero, zewsząd do muru przyparty, przeszedł Taczanowski granicę i objął dowództwo nad uorganizowanym oddziałem

W pierwszych dniach maja opuszczał Kazimierz gościnny dwór Kwiatkowskich, wracając do Polski, do lasów. Wiózł go sam Kwiatkowski, który się do powstańca przywiązał.

Kazimierz nie był jeszcze zupełnie zdrów, ale na wieść, że nowy obóz do walki staje, nie mógł wytrzymać w poduszkach. Zrywał się, gniewał, chciał uciekać, a kiedy mógł chodzić, nie dał się niczem przekonać.

Jeszcze w drodze namawiał go Kwiatkowski do powrotu:

— Zaczekajmy, aż wyzdrowiejesz. Służyłeś dosyć ojczyźnie, panie Kazimierzu — przekonywał obywatel.

— Śmierć, albo zwycięztwo! — odpowiadał Kazimierz uparcie. — Przysięgi nie złamię.

— Nie możesz jeszcze wytrzymać trudów obozowych.

— Nagnę ciało do posłuszeństwa.

— Więc jedźmy.

Przybywszy do Pyzdr nie zastali już powstańców. Spieszyli więc dalej przez okolice, Moskwą przepełnione, w ślad za obozem Taczanowskiego, który spotkali pod Ignacewem.

Kiedy wjeżdżali do obozu, kopano właśnie szańce, bo nieprzyjaciel nadciągał. Nie było czasu do szukania znajomych. Kazimierz wziął karabin, nabił go i czekał.

Nowego powstańca przyjął major Strzelecki, a kiedy usłyszał jego nazwisko, kazał je sobie jeszcze raz powtórzyć.

— Kazimierz Podlodowski? — rzekł Strzelecki. Przed godziną przybyła do obozu jakaś włoszka, piękna i snać bogata, i dopytywała o pana.

— Włoszka?

Kazimierz zamyślił się.

— Mówiła, że przybyła za panem z Paryża.

— Nie przypominam sobie żadnej włoszki.

— Że jechaliście razem parostatkiem do Marsylji.

— Ach!

Kazimierz uśmiechnął się.

— Olimpja Corteroni — rzekł.

— Tak się nazwała.

— Cóż się z nią stało?

— Przybyła w towarzystwie starego jegomości i lokaja. Stary modlił się, aby opuściła obóz, płakał, szlochał, ale nic nie pomogło, bo panna mówiła ciągle: on tu musi być, nie ruszę się ztąd, dopóki go nie zobaczę. Kiedy oświadczyłem staremu, że czas opuścić obóz, bo Moskwa nadciąga, uciekał jak opętany.

— A panna? — zapytał Kazimierz.

— Została w obozie i szuka pana.

— Dziwna kobieta — mówił Kazimierz z cicha — jaka szkoda, że jej dawniej nie znałem.

W tem powstał ruch w obozie. Adjutanci pędzili galopem do sztabowej kwatery.

— Moskale ciągną — rozległo się wołanie.

Kwiatkowski ucałował Kazimierza, — wsiadł na bryczkę i spieszył za obręcz posterunków; straceniec uścisnął karabin: śmierć, albo zwycięstwo! szepnął i stanął za jednym z przednich szańców.

W pół godziny potem zahuczały działa nad polskiem wojskiem. Sześć tysięcy Moskali i dwanaście armat nadeszło pod dowództwem trzech jenerałów, aby się mierzyć z tysiącem powstańców.

Gęsty ogień karabinowy, przerywany wymierzonymi odstępami strzałów armatnich ożywił Kazimierza. Był w tej chwili tylko straceńcem nie troszczącym się o życie.

Ktoś stanął za nim, dotykając jego ramienia. Odwrócił się, ale nie zdziwił, kiedy ujrzał Olimpję.

— Casimir, mon héros — szepnęła dziewczyna.

Kazimierz wskazał milcząc ręką na moskali i strzelał dalej. Olimpja stanęła obok niego i otarłszy łzy, nabiła karabin, który wzięła w drodze poległemu wojakowi.

— Vive la Pologne! — zawołała, wystrzeliwszy.

Moskwa przeszła teraz do ataku. Zwartymi szyki postępowała spiesznie ku szańcom. Tysiączne hurra! rozległo się nad wojskiem.

Widząc Moskwę tuż przed sobą, wyskoczył Kazimierz z po za szańca i rzucił się na ludzki mur, bagnetami najeżony. Za nim pobiegła Olimpja. Kilkadziesiąt kul utkwiło w ich piersiach, kilkaset nóg przeszło po krwawych trupach...

Moskwa zwyciężyła pod Ignacewem; obóz Taczanowskiego poszedł w rozsypkę. Zginął tu major Strzelecki, właściwy dowódzca obozu, poległ kwiat szlachty wielkopolskiej: Turno, Unrug, Baranowski, Jackowski i wielu innych. Sam Taczanowski gdzieś znikł. Rozbitków zbierał po bitwie prosty szeregowiec... Jan Działyński.

. . . .

Na rozstajnych drogach, z których jedna do Konina, druga do Ruszkowa prowadzi, stoi boża męka. Pomiędzy strzechami osady Ignacewskiej, a krawędzią lasu sterczą z ziemi resztki szańców Taczanowskiego, a za niemi wznosi się obszerny czworobok narzuconej ziemi. Jest to mogiła, w której spoczywają resztki poległych pod Ignacewem wojaków. Tu leży Kazimierz z Olimpją...

Na mogile tej klęczały w pierwszych dniach listopada 1863 roku dwie osoby, modląc się gorąco: siwowłosy starzec z młodą dziewczyną. Był to pułkownik de Beauregard z córką Sydonją, płaczącą po Kazimierzu wdową-kochanką...

w styczniu 1879.

TEATR.

„Poczwarka“ 4-aktowa komedja Birch-Pfeiffer po długiem nie graniu, wystawioną została w przeszłym tygodniu na naszej scenie. Tytułową rolę, grała pani Zimajer w pierwszej połowie sztuki wybornie, w drugiej, gdzie charakter i sytuacje przechodzą w sferę dramatu, bardzo sympatycznie. P. Woleński był dzielnym kochankiem, a p. Kwieciński z nieporównaną rzewną humorystyką, oddał rolę poczciwego bliźniaka. Piękną arystokratką wieśniaczką była panna Sułkowska, w grze której, obok talentu i wyrazistej dykcji, widać pracę, staranne obmyśliwanie roli i wnikanie w charakter. Ze spokojem artystycznej dokładności, odegrał p. Tomaszewicz, bardzo dobrze, rolę ojca.

Umyślnie na końcu wspominamy o grze pani Aszpergerowej w roli matki Fadet. Znakomita ta artystka nietylko imponowała całem pojęciem tej postaci, lecz szczegółami gry swojej, wzbudzała w słuchaczach dreszcze iście dramatycznej grozy. *M. D. Ch.*

Zestawienie trzech komedyj zupełnie innego zakroju, z których każda przemawia do nas z innej sfery — było zestawieniem bardzo miłem dnia 4 sierpnia. Dano bowiem „Miłość z przeszkodami“, „Jej marzenia“ i „Łobzowianie“. O pierwszej komedji nie wypowiadamy naszego zdania, gdyż autorem jej, jest p. M. D. Chamski, redaktor niniejszego dziennika, stwierdzamy tylko fakt, że publiczność bawiła się na tej wesołej komedji wyśmienicie — zresztą komedja ta nie jest nowością, ponieważ przed kilku laty przedstawioną była w Warszawie, a nawet i tutaj we Lwowie, za dyrekcji Miłaszewskiego. Zwrócimy więc tylko uwagę na grę artystów tem chętniej, że wszystkie role dostały się w ręce sumiennych pracowników naszej sceny.

Pan Zboiński (Procedura) i pan Fiszer (Stempel), oddali swoje role z takim humorem, i z takiem wykończeniem, że trudno byłoby przyznać jednemu z nich pierwszeństwo pod względem gry i charakterystyki. Przebiegłość, zdziwienie i udana słodycz, wybornie wychodziły na jaw — a gniew obydwóch przyjaciół pobudzał publiczność do serdecznego śmiechu. Krótko mówiąc, obydwie te role wyszły znakomicie, bo zostały oddane z drobiazgową starannością.

Pan Lubicz (Kulisa) przedstawił aktora w właściwy sobie sposób t. j. żywo, lekko i wesoło — zawiązał intrygę — ożenił przyjaciela, — odsunął starego adonisa od młodej panny — rozśmieszył publiczność, i odbierał oklaski zupełnie zasłużone.

Pan Walewski grał kochanka ubogiego, który się kocha w bogatej pannie. Rola tego rodzaju, nie może się liczyć do wdzięcznych ról — wymaga wiele, a mało sprawia efektu, to też takie role najczęściej giną w obec innych, i zacierają się szybko w pamięci. Pan Walewski jednak ma dwie ważne zalety, które się uwidoczniają w najdrobniejszej nawet roli: posiada on inteligentne ułożenie, i umie chodzić po deskach scenicznych; te dwie zalety sprawiają to, że widz, chociaż zapomina o roli, pamięta przecież o jej przedstawicielu. Dla tego to gra p. Walewskiego wypadła, jak we wszystkich jego rolach, bardzo szczęśliwie, bo nie trudno w nim odczuć młodzieńczy zapał do sztuki.

Na zakończenie zostawiliśmy ocenę gry panny Turczynowicz i panny Sułkowskiej. Córkę Procedury przedstawiła panna Turczynowicz — a chociaż jej rolka nie dawała pola do popisu, chociaż w niej nie było wyraźnego charakteru, to przecież panna Turczynowicz grą swoją bezprzesadną, uwydatniła postać kochającego dziewczęcia, której okrutny ojciec, każe poślubić starego i nieznośnego dziada. Żywość, energiczność i przyjemna akcja, jaką się posiłkuje panna Turczynowicz, już od dawna usposobiły dla artystki bardzo dobrze lwowską publiczność, która też sympatycznie obdarza ją swemi względami.

Panna Sułkowska w roli Bożenny ładnie siz przedstawiła — gra jej powabna, spokojna, powierzchowność inteligentna, głos przyjemny, wszystko to musiało wywrzeć jak najkorzystniejsze wrażenie na słuchaczach.

O komedji p. t. „Jej marzenia“ wspominaliśmy po pierwszem jej przedstawieniu.

Dawno nie grana komedja: „Łobzowianie“, ukazała się na naszej scenie.

Pani Kwiecińska w roli Zosi była śliczną krakowianką — śpiew jej wypadł rzewnie i poprawnie, z tem wszystkiem jednak ludowe role widocznie nie leżą w zakresie charakteru pni Kwiecińskiej. Naiwność salonowa, przebijała się w wiejskiej dziewczynie, a i mowa nie przyzwyczajona do mowy ludowej, była w połowie tylko oryginalną.

Po raz drugi mieliśmy sposobność widzieć pannę Sułkowską występującą w rolach ze śpiewami: w „Życiu paryzkiem“ w Metelli, i w „Łobzowianach“ w roli Kasi. Otóż możemy śmiało powiedzieć, że panna Sułkowska, jeżeli dołoży starań, może z wielkiem powodzeniem występować w operetkach — ma bowiem wszelkie warunki do ról ze śpiewami.

Pp. Kasprowicz (Tomek) i Nowicki (Kuba) ogniście się uwijali przy dziewczętach — a Protaz p. Tomaszewicz, oddziaływał korzystnie grą swoją na publiczność, wywołując serdeczny śmiech i zadowolenie. Nie wypadły jednak tak dobrze „Łobzowianie“ jak ich grali kiedyś w Warszawie — brak było owego ducha prostaczego, owej poezji ludowej...

Pan Zboiński (Szymon) ślicznie oddał postać starego kmiecia — jego śpiew szczerze przemówił do każdego serca i wzbudził przyjemne uczucie. *Bolesławicz.*

„Testament ubogiej kobiety“ pięcioaktowy dramat, a nie komedja, jak było wydrukowane na afiszu, od lat kilkunastu, albo więcej nie był grany na naszej scenie, przedstawiono dnia 6 sierpnia.

Sensacyjna ta sztuka licho przetłumaczona z francuskiego, zrobiła jednak bardzo korzystne wrażenie na słuchaczach; dużo w niej nagromadzonych jest żywiołów dramatycznych, o sytuacjach, jak to powiadają, bez wyjścia... Do zainteresowania nie mało przyczynili się też nasi artyści, mianowicie grała znakomicie p. Aszpergerowa i bardzo dobrze pani Woleńska, oraz pp. Woleński, Kwieciński i Podwyszyński. Mniejszą rolę salonową narzeczonej odegrała z wdziękiem p. Kwiecińska. Pułkownika, także nie wielką rolę, odegrał z prawdą p. Zboiński. Jeszcze mniejsze role, oddali przyzwoicie: pp. Pieniążek, Walewski i pani Korwin. *M. D. Ch.*

Potoczne wiadomości teatralne. — Dowiadujemy się, że dyrekcja naszego teatru przygotowuje kilka nowości oryginalnych — między innemi oryginalną 1-aktową komedję p. Bolesławicza p. t. „Czuły mąż“, która wkrótce będzie przedstawiona.

— Już donieśliśmy o przebiciu sztyletem znanej tancerki panny Gillert, w czasie jej wystąpienia w teatrze w Moskwie. Obecnie donoszą, iż zabójca jej po przewiezieniu go do szpitala więziennego, odmówił przyjmowania pokarmu w chęci skrócenia sobie życia przez zamorzenie się głodem.

— Rossi tragik, znany z wystąpień u nas, bawi obecnie z truppą swoją w Rio-Janeiro. Cesarz brazylijski Don Pedro I, zachwycony grą wielkiego artysty, nie opuszcza, ani jednego przedstawienia.

— Bawiąca na kuracji w Franzensbadzie, śpiewaczka pani Jakowicka, dawała przed kilku dniami na cel dobroczynny koncert, w którym brały udział jej córka (fortepianistka), uczennica pani Jakowickiej panna Bothe. Koncert udał się znakomicie, rodaczkę naszą oklaskiwano rzęsiście po każdym numerze i obrzucano kwiatami; a wracającym do domu koncertantkom, przyświecano bengalskimi ogniami.

NIEMIECKIE POWIEŚCIOPISARKI

STUDJUM LITERACKIE

przez

Feodora Jeske-Choińskiego.

(Ciąg dalszy.)

Smutne były czasy, kiedy hr. Hahn wróciła do Europy. Począwszy od przedednia francuzkiej rewolucji (encyklopedyści) aż do dziś odbywa się w umysłach wykształconych ów rozkład moralny, którego ostatecznym czynnikiem: nicość i ciemnota. Fermentacja ta nie ustała dotad, bo jeszcze dziś nie wie, ani sztuka, ani filozofja, w którą stronę bez błądzenia się zwrócić. Ciemno i smutno... Kiedy hr. Hahn z pielgrzymek swych do Europy wróciła, panowała właśnie zupełna martwota ducha. Ludzie, ciągłemi, daremnemi walkami zmeczeni, nie wierzyli już w nic, bo nie mieli odwagi, ani ochoty do myślenia, nie wytykali sobie jednych celów; żyli z dnia na dzień, szli na oślep w objęcie cielesnego użytkowania, aby zagłuszyć wewnetrzną sumienia wrzawę. Ludzie chcą szczęścia, zawsze szczęścia i mają prawo do niego. Cóż, kiedy społeczeństwo, jakiem je sami ludzie zrobili, szczęścia nie daje. Dopóki jest jaka wiara, choćby najdziwaczniejsza, byle ucząca rezygnacji i nadziei na przyszłość, dopóki jest jaki cel wyższy, niesamolubny życia czynnikiem przeważnym, dopóty pociesza sie jednostka chimerą, marzeniem, planami itd. ale skoro ten nadprzyrodzony pierwiastek, który jedynie dolę na tej nędznej ziemi ozłocić, albo tylko uznośnić może, upada, ginie — odzywa się samolubne ciało w człowieku, owo „ja“ bezlitośne i rozpaczliwe. „Chcę być szczęśliwym i basta, bo mnie reszta nic nie obchodzi“. Samolubne to, ziemskie szczęście prowadziło pióro George Sand we Francji, a w Niemczeck reprezentuje hr. Hahn ten sam kierunek. Niemiecka poetka była z natury namiętną, cielesną, a przytem rozmarzoną kobietą. Koła arystokratyczne, w których się od dziecka obracała i z których nigdy nie wyszła, nudziły ją powszednią blagą salonów, męczyli ją ludzie, poruszający się według pewnych praw, ziewający, paplący, bawiący sie. W tych salonach hrabiów i książąt, było wszystko naciągane, nudne, manierowane, tam przesyt był i ubóstwo ducha, tam nie było idei przewodniej, któraby życiu nadawała szlachetniejszy kierunek. Hrabiowie mieli wielkie włości, więc używali, bawiąc się, podróżując, aż zmęczeni na wsi osiedli, aby dokonać nędznego żywota wśród ekonomów i chłopów, wśród zarobku, polowań i biesiad; a jeśli z nich który namiętniejszy był, przerzucał się z sytuacji w sytuacją coraz to drastyczniejszą, aż zmarniał w jakim domu gry, lub w pojedynku, albo własną zabity ręką. Zepsucie poczyna się od góry,

to pewną rzeczą. W tem rozumieniu prawdę mówiła burżoazja, zarzucająca ówczesnej szlachcie zblazowanie i bezużyteczność. Wszakże ten sam objaw widzimy już dziś w bogatych kołach burżoazji; różnica ta, że szlachta ma za sobą długą tradycję dodatnią w dziejach, czem się fabrykanci i ś. p. gründerzy poszczycić nie mogą.

Hr. Hahn należała do najwyższych kół arystokratycznych rodem, wychowaniem i przekonaniami. Byłaby tedy i ona żyła, jak wszystkie hrabianki i księżniczki, gdyby nie była poetką, czyli kobietą wyższą od kołyski. Ta wyższość zatruła jej całe życie. Pędziła ją naprzód po dalekim świecie z kraju do kraju, z morza na morze, przerzucała ją później z miłostki w miłostkę, aż ją w końcu zagnała w religijną ortodoksję, do klasztoru. Zbyt wielką miała duszę, aby mogła bez oburzenia oddychać nudnem salonów powietrzem — za małą do pogardy świata, do podjęcia misji istnie autorskiej.

Fanny Lewald wzięła pióro do ręki, nie wiedziona natchnieniem kapłanki poezji, ale z utylitaryzmu — a hr. Hahn dla emocji. Chciała się wzruszyć, podrażnić, chciała się zająć, wypełnić puste życie jakąś pracą, więc naprzód podróżowała, a kiedy ją obce kraje znudziły, zaczęła pisać wspomnienia z podróży, w końcu powieści. Praca autorska miała być lekarstwem, miała wrócić równowagę skołatanej duszy. Dziś wiemy, że i ten środek chybił. Bez tego wstępu nie można zrozumieć pani Hahn czynności.

Już mniejsze prace hr. Hahn „Reisebriefe“ i „Reiseversuch im Norden“ zwróciły na nieznaną autorkę uwagę krytyki. Podziwiano piękny język i wysoką poetycką wyobraźnię. W roku 1833 wyszła pierwsza jej powieść p. tyt. „Aus der Geselschaft“ (Z towarzystwa), którą autorka później w nowem wydaniu „Ida Schönholm“ nazwała. Odtąd następowały dalsze powieści dość szybko po sobie (w jednym roku wyszły aż trzy); po siedmiu latach pracy literackiej była hr. Hahn autorką całego szeregu powieści „der Rechte“, „Sigismund Forster“, „Cecil“, „Ulrich“, „Zwei Frauen“, „Faustine“ i t. d... Z wszystkich tych prac biorę jedną pod skalpel krytyczny, gdyż!... szkoda!... wszystkie są rodzonemi siostrami jak zwykle u kobiet. Wybieram z epoki protestanckiej powieść „Zwei Frauen“ (Dwie kobiety), bo w utworze tym ujrzymy całą twarz poetki.

„Dwie siostry“. Aurora i Kornelia, córki marszałka dworu w Berlinie, wychodzą za mąż, jak tyle innych siedmnastoletnich dziewcząt... tak sobie, bo się w tym wieku zwykle za mąż wychodzi. Są rodzonemi siostrami, ale odmienne ich charaktery, oddalają je od siebie. Aurora, młoda, piękna, egzaltowana dziewczyna, patrząca na świat przez powiększające szkła nadziei i niedoświadczenia, wychodzi za pana von Elsleben, poczciwego, ale rubasznego szlachcica bez nauki; Kornelia, równie ładna, miła, ale mniej rozwinięta panna, jedzie z mężem swoim hr. von Sambach, do włości jego w Szląsku. (C. d. n.)

Kronika zagraniczna.

W nekrologu zmarłego przed kilku dniami w Londynie słynnego angielskiego malarza historycznego Karola Landseer, przytacza „Times“ następujące dziwne wydarzenie: gdy Karol Landseer wymalował swój najlepszy obraz „Wieczór przed bitwą pod Edge-Hill“, za który otrzymał tytuł akademika, zaprosił brata swego, głośnego malarza zwierząt Edwina Landseer, aby obraz ten obejrzał i wydał o nim swe zdanie. Sir Edwin orzekł, że malowidło jest bardzo dobre, „ale pięknie byłoby pomieścić jeszcze w kącie psa podwórzowego“. „Jeżeli tak sądzisz, to namaluj psa — powiedział na to Karol.

Szybko pochwycił mistrz za pendzel i namalował ślicznego brytana angielskiego. Obraz poszedł na wystawę i był podziwiany, szczególniej zaś uwielbiano psa owego; handlarz też, który nabył obraz, jako człowiek praktyczny przywiązywał do psa więcej wartości, niż do całej reszty dzieła. Wyciął więc psa z obrazu i sprzedał go jako obrazek osobny, a dziurę załatał i kazał w tem miejscu namalować dobrą kopię brytana.

W kilka lat później pokazywano sir Edwinowi obraz brata, ale mistrz przyjrzawszy mu się bliżej powiedział: „kazałbym się powiesić, jeżeli ja malowałem psa tego“. Obejrzano więc pilniej malowidło i odkryto oszustwo. Ów oryginalny pies pierwotny został w tych czasach sprzedany na licytacji za 43 funty szterlingów.

Największy z istniejących teleskopów zbudowano obecnie w zakładzie Galloway i sp. w Anglji, dla Henryka Bessemera. Teleskop ten kosztuje 40.000 funt. szter.

W Londynie obecnie urządzono wspaniałą szkołę pływania dla kobiet i dzieci w ten sposób, iż olbrzymi omnibus na zimę zostanie pokryty i zamieni się na czytelnię. Praktyczny właściciel mieć będzie użytek z budynku przez cały rok. Wybór książek ma być odpowiedni letniej klijenteli, czyli składać się będzie z utworów przeznaczonych dla płci pięknej, oraz młodego pokolenia. Nowy ten zakład znalazł silne poparcie w prasie, która uznaje umiejętność pływania za niezbędną dla wszystkich.

Deszcze i ulewy w tym roku, są w Europie na porządku dziennym. Pierwsze są jak wiadomo nieustanne i z tego powodu sprowadzają drugie, czyli przybory wód. W Rosji między innemi rzeka Jenisej, we Francji Sambre, we Włoszech Garda, a w Bawarji Isora, prócz wielu innych w pomienionych krajach wystąpiwszy z koryta i zalawszy sąsiednie okolice, stały się powodem bardzo wielu strat.

Ojciec święty, jak donosi dziennik „Italie“, odznacza się wielką oszczędnością. Osobiste jego wydatki, wynoszące dawniej 20 tysięcy franków na miesiąc, obecnie dochodzą zaledwie 1.500 fr. Wchodzą w to już wydatki stołu. Podarunki, jakie ojciec św. daje, o ile się dało, zredukowano do minimum. Kontrola jest jak najściślejsza każdego wydatku i pieniądze są wydawane tylko na takie przedmioty, bez których obejść się niepodobna. Zniesiono także nagrody, które dotąd pochłaniały wielkie sumy.

Rzadka zaiste w swoim rodzaju pomoc, ale o ile osobliwsza, o tyle praktyczna. Mówimy tu o nadzwyczajnej powodzi, jaka nawiedziła mieszkańców Szegedyna. Otóż francuzi nietylko że pospieszyli im z pomocą materjalną, ale obecnie spieszą jeszcze i z naukową. Jeden bowiem z inspektorów generalnych komunikacji lądowych i wodnych, otrzymał polecenie zbadania na miejscu powodów wylewu i wskazania przeciwko temu na przyszłość odpowiednich środków.

Nareszcie i kolej elektryczna zaczyna przychodzić do skutku. Dla wprowadzenia jej w życie, pan Westphal budowniczy i przedsiębiorca kolejowy zamierza zbudować dwie linje w Berlinie i tam złożyć dowody, iż motor elektryczny nie jest żadną mrzonką, jak dotąd wielu mniemało.

KONGRES MIĘDZYNARODOWY
literatów i wydawców w Londynie.

III.

(Dokończenie).

Ta sama linja kolei przywiozła nas dwa dni później o dwie godziny za Oxfordem, czarująco nad malowniczemi brzegami Avonu położonego Stratfordu, miejsca urodzenia, śmierci i grobowca największego poety wszechświata, Wiliama Shakespeare'a. To już nie wycieczka bankietowa, ale pielgrzymka raczej. Prosto z kolei przygotowane pojazdy powiozły nas do świątecznie przybranego ratusza, gdzie w dolnej sklepionej komnacie przyjął nas burmistrz, p. Flowers, i po zwykłych prezentacjach i komplementach powiódł na górę. Czterogodzinna podróż podwoiła apetyt; a może też to tylko niecierpliwość, goniąca ku obejrzeniu pamiątek po genjalnym poecie, sprawiła, że olbrzymie śniadanie spożytem zostało z prawdziwie angielskim pośpiechem. Pośpiech ten fatalnym był nawet dla p. Frédéric Thomas, który, jak zwykle chciał się wymową popisać i gradem pustych, ale nadętych frazesów tak długo sypał w niewielką miarkę naszej cierpliwości, aż się nareszcie przebrała. Ogólny głos domagający się końca i tłumne ruszenie się od stołu pouczyły zarozumiałego francuza, że jeżeli gdzie to przy mogile Szekspira jego kuglarskie popisy banalnych komunałów zupełnie nie na miejscu. Przykre wrażenie tego niemiłego zajścia rozwiało się na widok maleńkiego domku o niskiem piąterku, a wysokim dachu, o rzeźbionej galeryjce i drewnianą kratą opatrzonych oknach. Tutaj Szekspir ujrzał światło dzienne; tutaj stała jego kolyska; tutaj przeżywał pierwsze wrażenia, których echa skrystalizowały się po-

źniej w arcydzieła; tutaj poznał pierwsze zawody, które położyły podwaliny do śmiałego gmachu jego filozofji życia; tutaj na rowieśnikach niejako *in anima vili*, robił pierwsze spostrzeżenia nad sercem ludzkiem, które nikt przed nim i nikt po nim nie zbadał dokładniej. W uroczystym nastroju ducha zwiedziliśmy wszystkie zakątki tego skromnego, wieśniaczego domu, i obszerną kuchnię z takąż komorą i ciasne ciupki na piętrze; jedna z nich niska, pod dachem na wpół przytulona, słyszała pierwsze kwilenie niemowlęcia, które było później Szekspirem. Na dole w komorze obok kuchni urządzono rodzaj muzeum z pamiątek po poecie. Są tam jego portrety tak współczesne, jak późniejsze, jego drobne sprzęty, listy jego rodziny, pierwsze wydania jego nieśmiertelnych dzieł. Wszystko to jest zasługą naszego gospodarza, pana Flowers, któremu kolosalna fortuna innej nie podsunęła ambicji nad tę, aby zostać burmistrzem lichej mieściny i poświęcać czas i pieniądze na zbieranie i odszukiwanie śladów jednego człowieka. Ale to mieściną jest Stratford an Avon, ale tym człowiekiem jest Szekspir.

Dom, w którym zmarł poeta, znajduje się na drugim końcu miasteczka, a raczej znajdujemy tylko jego fundamenta, położone dzisiaj w publicznym ogrodzie, noszącym jego nazwisko. Domu tego nie zburzył czas, ani grom, ani ogień, zburzyła go dłoń ludzka, a co gorsza, z pełną samowiedzą wandalizmu, jakiego się dopuszcza. Przed kilkunastu laty właścicielem tego domu był anglik mizantrop, uciekający od ludzi, rozkoszujący się w samotności, a jakże tu izolować się od świata i nienawistnych bliźnich, gdy się zamieszkuje dom, w którym umarł Szekspir. Anglik postanowił wynieść swe ponure penaty gdzieindziej, ale, aby się zemścić nad natręctwem nachodzących go pielgrzymów, wybudowawszy nowy, dom stary, pamiątkowy, historyczny, w gruzy zamienił. Anglik ten nazywał się sir Herostrat... nie, jakoś inaczej, ale to na jedno wypadnie. Powiedziano mi nazwisko tej smutnej sławy, ale się je starałem, co prędzej zapomnieć. Pan Flowers powiódł nas następnie, nie bez pewnego rodzaju dumy, bardzo zresztą usprawiedliwionej, do Shakespeare'as-Memorial-Theatre. To także jego dzieło, a przynajmniej w znacznej części, bo w składce zarządzonej na wzniesienie tego gmachu wziął udział z sumą 250.000 franków. Pisma illustrowane podały niedawno wizerunek tego teatru, wzniesionego na cześć Szekspira w jego rodzinnem mieście a inaugurowanego podczas obchodu jubileuszowego w przeszłym roku. Teatr ten, którego budowa rozpoczętą została dopiero 1877 r., dotąd skończonym nie jest, stoi tylko główny korpus mieszczący salę — a dwa skrzydła zaledwie wznoszą się na kilka metrów. Na nasze przybycie zebrały się w lożach Stratfordskie damy, na ich czele nadobna siostrzenica burmistrza, która nam również i w kościele, mieszczącym zwłoki poety, uprzejmie ciceronowała. Na płycie w kamiennej posadzce kościoła, tuż przed ołtarzem znajduje się napis i czterowiersz ułożony przez poetę, a przestrzegający przechodnia, aby szanował prochy jego i zostawił je w spokoju na miejscu spoczynku. Obok, jak świadczy napis na sąsiedniej płycie, pochowaną jest żona poety. Dłoń przyjaciela wmurowała obok w ścianę kościoła pomnik z popiersiem, bardzo małej artystycznej wartości, ale cenny dla tego, że współczesny. Oprócz czterowiersza pretensjonalnie napuszystego znajduje się na ostatnim dystychon łaciński, który przytaczam:

Judico Pylium, genio Socratem, arte Maronem
Terra legit, populus maeret, Olympus habet.

W księgach kościelnych pokazywano nam akt chrztu i akt zejścia Szekspira: dwa lakoniczne dokumenta, między któremi wznosi się niebotyczny gmach jego nieśmiertelnych kreacyj.

W domu swoim, rozkosznej willi, położonej nad kapryśnym w swych splotach Avonem, otoczonej nader pięknym ogrodem i wspaniałemi cieplarniami, przyjmował nas następnie pan burmistrz Flower z prawdziwie serdeczną, wylaną gościnnością i z zapałem rozwijał plany, jakie jeszcze ku uświetnieniu pamięci swego ulubionego wieszcza wykonać zamierza. Żal nam rzeczywiście było opuszczać dom i rodzinę tak sympatyczną, wykształconą, a w społeczeństwie zimnem i w zimniejszej epoce zdolną tak czystego zapału i entuzjazmu, ale pora spóźniona wzywała do powrotu, bo chociaż aż do Oxfordu mieliśmy pociąg nadzwyczajny, trzeba było tam stanąć przed odejściem ostatniego londyńskiego pociągu. Serdeczne więc podziękowania, wdzięczne ściśnienie dłoni — i już skończona nasza prześliczna wycieczka. Wspomnienie jej przecież pozostanie, mniemam, że dla wszystkich niezatartem, a rozpamiętywanie wszystkiego, co widzieliśmy w Stratfordzie, podniesie tylko szacunek dla narodu, który za dzisiejszą swą wielkość umie być wdzięcznym przeszłości, a genjalnych swych poetów umie czcić nie tylko marmurowymi posągi ale wniknięciem w ich utwory, przejęciem się ich pięknościami, jasnem rozpoznaniem dziejowego znaczenia, jakie miały, i wiarą w cywilizatorską misję, której nigdy spełniać nie przestaną. Anglik dumnym jest z Szekspira — ale nie dla tego jedynie, że był Anglikiem, lecz że był, jest i będzie ludzkości pożytecznym. Nikt im nie zazdrości tego zaszczytu, ani za złe nie weźmie dumy tak szlachetnej.

K.

Krytyka, Nowiny literackie i artystyczne.

Poezje Onufrego z Bajek, spisał Leszek Sz... Lwów, 1879.

Dla wielu zalet tego zbiorku, należy mu się słusznie na tem miejscu wzmianka. Na część pierwszą składają się utwory oryginalne, na drugą tłomaczenia. W ogóle pióro p. Sz. zaleca się płynnością, lekkością, humorem, a nawet pod wieloma względami, oryginalnością. Autor wyrobił sobie formę zupełnie oryginalną, której używa w wierszykach znanych nam z „Szczutka" i „Djabła", a które tu są powtórzone. Niektóre z humorystyczno-satyrycznych wierszy odznaczają się pomysłem, z którym zgadza się też forma zewnętrzna. Do takich należy np. „Legenda ziemi przemyskiej", w której wypowiedziana satyra może niezaprzeczenie rywalizować z najlepszymi utworami tego rodzaju. Nie tylko satyra jest tu reprezentowana, znajdujemy utwory liryczne, pełne serca, ciepła i patrjotyzmu. Dość wspomnieć utwory, jak: „Jenerał Mokronowski", „Pannie Dr. w upominku", „Czarna łapka", „Do...", „Wiosna". Przynoszą one zaszczyt autorowi, świadczą o znajomości serca i okazują lekkie władanie formą. Natomiast nie możemy pominąć, iż bardzo na nas przykre wywiera wrażenie utwór, który autor zatytułował: „Chorałem". Prawda, że to, co tam wyrażono, z życia jest zdjęte, pojmujemy, że to z uczuć szczerze patrjotycznych autor targnął, tę tak boleśnie brzmiącą strunę, ale nie godziło się taką parodją nieśmiertelnego „Chorału" K. Ujejskiego, znieważać tego utworu, nie godziło się w tę samą formę ujmować słów szyderstwa, acz może zasłużonego, ale rażącego brzydotą satyry. Osłabia to część pierwszą, zresztą bardzo dobrą, i nie może być autorowi przebaczonem.

Drugą część zajmują przeważnie tłomaczenia H. Heinego. Podaje tu p. Sz. wcale dobry przekład „Lirycznego Intermezzo". Wiersz lekki, podatnej treści, a choć nie dorównywuje po większej części oryginałowi, to jednak korzystnie uwydatnia się pomiędzy dotychczasowemi tłumaczeniami Heinego. W niektórych nawet miejscach schodzi się tłomacz z autorem tak blisko, iż śmiało przekład może mierzyć się z oryginałem. Szkoda wielka, iż tłomacz nie zwrócił uwagi na miarę wiersza w oryginale, gdyż do większej części „Lirycznego Intermezza jest bardzo piękna muzyka. Tym sposobem moglibyśmy wyrugować tak często u nas powtarzane piosenki niemieckie do muzyki np. Szuberta. Ale jak w pierwszej, tak też i w drugiej części znajduje się sęk wielki. Niby to nie tłomacza wina, iż autor skalał swe pióro takim wierszydłem, ale polak nie powinien kalać polskiego języka na przetłomaczenie: „Legendy zamkowej". Odkąd Polska z niemcami sąsiaduje, choć tyle od nich ucierpieliśmy, choć często żal nasz do nich w nienawiść się zamieniał, nigdy nie hańbiliśmy ich imienia, bo toby nam ubliżało. Niech sobie potomkowie krzyżaków robią co chcą, my nie skalamy ust naszych „Legendą zamkową", która rosła z pod pióra tego, co tak Prusaków nienawidził.

Dlatego zasługuje ta kartka poezyj Onufrego z Bajek, by ją wydrzeć i zniszczyć, bo ona ubliża tłomaczowi, który tak gorącym jest polakiem.

Zorjan.

Piszą nam z Paryża: W roku zeszłym wyszło w Paryżu dzieło, przynoszące prawdziwy zaszczyt literaturze naszej naukowej. Chcemy mówić o „Anatomji porównawczej zwojów mózgowych" przez E. Chudzyńskiego (tom in 4to, 95 str., 28 fig. w tekście, z podwójnych tablic po za tekstem). Mózgi zwierząt ssących włącznie z mózgami małpiątek (prosiniens) są w tem dziele po raz pierwszy w sposób metodyczny i dokładny badane. Większa część tego studjum polega na osobistych spostrzeżeniach. Autor, będący od lat wielu preparatorem w laboratorjum antropologji, sam wykonał z godną podziwienia starannością prawie wszystkie mózgowe i intracaczkowe (intracanienus) formy (więcej jak 500) stanowiące w muzeum towarzystwa antropologicznego najobszerniejszy i najzupełniejszy zbiór, jaki istnieje. A więc nikt nie był więcej, jak pan Chudzyński, uzdolniony do napisania tego dzieła.

Jeden z najuczeńszych mistrzów w tej sztuce, profesor Brocks, dyrektor laboratorjum, nieraz publiczny hołd składał poświęceniu i biegłości rodaka naszego, a w sprawozdaniu dziesięcioletniem do ministra oświecenia, wymieniając prace wykonane pod swoim kierunkiem, a mianowicie przez p. Ch., niedawno jeszcze mówi co następuje: „Jeżeli można było, pomimo nadzwyczajnych różnic zewnętrznych odszukać cechy wspólnego wszystkim ssącym zwierzętom typu, to zawdzięczamy głównie ten wypadek procederowi modelowania zastosowanemu przez p. Chudzyńskiego z niezmordowaną wytrwałością i godną podziwienia biegłością".

P. Chudzyński ma zamiar ogłosić wkrótce drugi tom, który, mózgowi antropsidów i człowieka poświęcony, uzupełni jego dzieła.

ROZMAITOŚCI.

Użytkowanie szparagów przez cały rok. W jednem z pism angielskich, traktujących o historji uprawy roślin, znajduje się ustęp następujący „W końcu czerwca, lub lipca, najlepiej podczas pory deszczowej, ucina się wyrosłe łodygi szparagowe przy ziemi, przekopuje powierzchnię zagonów i wyrównywa grabiami na płasko. Gdyby zaś był

czas posuszny, zlewa się obficie grzędy szparagowe gnojówką, albo wodą rozrobioną z odchodami końskimi, lub bydlęcymi przy dodatku cokolwiek soli. Guano, albo pomiot gołębi, lub kurzy, mogą też być z dobrym skutkiem w tym celu użyte.

Po 10 lub 14 dniach, ukażą się znów świeże szparagi. Jeżeli czas suchy, należy jednak silnie polewać grzędy szparagowe wodą, przynajmniej trzy razy na tydzień, a w ten sposób można zbierać szparagi aż do końca września, w której to porze może już nastąpić użytkowanie szparagów pędzonych w ciepłych inspektach.

Wprawdzie dwa razy w jednym roku zbierane szparagi wyczerpują roślinę, ale można temu zapobiedz rozdzieleniem plantacyj szparagowej na kilka części i użytkowaniem na przemian corocznie tylko jednej na powtórny zbiór w tym samym roku, kiedy tymczasem reszta, jak zwykle wypoczywająca, wzmacnia się rozkorzenieniem.

Lubownicy, a zarazem hodownicy tak wybornej jarzyny, jaką są szparagi, mogą jeszcze w tym roku sposób ten sprawdzić i wypróbować choćby na jednym zagonie. Tam, gdzie produkuje się szparagi na sprzedaż, postępowanie to przedstawia nawet pewne korzyści, albowiem w późniejszej porze osiąga się wysokie ceny za szparagi.

Środek przeciw molom. W pewnej broszurze amerykańskiej traktującej o szkodliwych owadach, znajduje się następująca rada dla gospodyń. Dla wyniszczenia moli i ich zalążków rozciąga się mokrą chustę na oswobodzić się mającem od moli suknie, lub dywanie i prasuje się gorącem żelazem. Woda z chusty zamienia się w ten sposób w parę. Para ta przenika materję i niszczy nietylko mole, ale i ich zalążki.

Odpowiedzi od Redakcji i Administracji.

P. An. Jo. w Stryju. Wiersz pański p.t. „Sybirski więzień" drukowany nie będzie.

P. G. C. w K. Jeśli pana wieś usposabia do takich poezyj, to w mieście chyba apopleksji można dostać od pańskich wierszy.

P. L. J. w D. Prosimy o korespondencje. — W Czerniowcach będzie nasz ajent.

P. Autorowi komedji. Pan Stanisław Dobrzański, o ile wiemy, powróci do Lwowa około 1go września.

P. Ksawerci we Lwowie. „Chciało się Zosi jagódek..." ale dawniej byli Jasiowie, co mieli pełne ogródki jagódek — dziś... ach, dziś biedni Jasie zaledwie mają na porcję jagód... w mleczarni...

Nadesłane.

W jednym z ostatnich numerów „Gazety Narodowej" było zamieszczone, że na maskaradach na „Strzelnicy" bywa podejrzana publiczność, szczególniej płci żeńskiej. Najprzód wydziwić się nie możemy temu, co właściwie nazywać podejrzaną publicznością, bo jeśli chodzi o maski i kostjumy żeńskie, to kubek w kubek na „Strzelnicy" bywają takie same, jak na redutach zimowych nawet akademików i techników, gdzie przecież godności królowych nie dostają się z rąk uczącej się młodzieży, damom z salonu... Zaprzeczamy też najuroczyściej, aby miały miejsce jakieś nieporządki — przeciwnie nic tam nie wychodzi z granic przyzwoitości, a że panuje dobry humor i życie, to są właśnie warunki takich publicznych zabaw. Publiczność umiała to ocenić, bo maskarady na „Strzelnicy", są bardzo licznie odwiedzane, a w przeszłą niedzielę był ścisk formalny. Tembardziej zarzuty robione zebraniom maskaradowym na „Strzelnicy" są niesłuszne, bo gospodarzem tam jest p. Michał Wojcicki, o którym ta sama „Gazeta Narodowa" kilka razy robiła bardzo pochlebne wzmianki, gdy się sumiennie i zdolnie wywiązywał z obowiązków utrzymującego restaurację obok sali sejmowej, w ogrodzie Kisielki, gdy przeznaczył czysty dochód z festynu na korzyść pomnika dla Seweryna Goszczyńskiego i inne dobroczynne ofiary.

Kilkunastu uczestników maskarad na „Strzelnicy".

(1—1)

Przewodnik lwowski.

Banki i Towarzystwa finansowe.

Galicyjski **Zakład zastawniczy i kredytowy**, w gmachu teatralnym. Wydaje pożyczki na wszystkie przedmioty ruchome wartościowe, przyjmuje wkładki na książeczki oszczędności oprocentowując takowe 7% z miesięcznem i 8% z trzechmiesięcznem wypowiedzeniem.

C. k. uprzyw. galicyjski **Zakład kredytowy włościański**, ul. Jagielońska l. 14 w własnym gmachu. Wydaje 6% asygnaty kasowe za 30-dniowem wypowiedzeniem, tudzież sprzedaje 6% listy zastawne, które mają nadto udział w dywidendzie i mogą służyć na kaucye. Bióra centralne otwarte od godz. 9 z rana do 3 po południu.

Bank budowniczy, plac Marjacki, w gmachu Banku hipotecznego. Ma do sprzedania domy na różne ceny i na różnych miejscach, jak niemniej cegły najdoborowszego gatunku i kamień budowlany po cenach najumiarkowańszych.

Galicyjskie **Towarz. kredytowe ziemskie**, ul. Karola-Ludwika l. 1. Godziny otwarte w kasie od godz. 9—1, Dyrekcji od 8—12.

Galicyjski **Bank kredytowy**, ul. Jagielońska, l. 3, w domu własnym. Wydaje asygnaty kasowe 4% z 14-dniowem, 5% z 30-dniowem, 5½% z 90-dniowem wypowiedzeniem. Przyjmuje wkładki książeczkowe na 6%.

C. k. uprz. **Galic. akcyjny Bank hipoteczny**, plac Marjacki l. 15, we własnym gmachu. Wydaje asygnacje kasowe 5% z 90-dniowem, 4½ z 60-dniowem, 4% z 30-dniowem wypowiedzeniem, tudzież kupuje i sprzedaje wszelkie papiery wartościowe i monety; 6% listy hypoteczne służące do lokowania kapitałów funduszowych, pupilarnych i wszelkiego rodzaju akcyj, można najkorzystniej nabyć, lub sprzedać w tymże Banku.

Tow. galic. kasy zaliczkowej, ul. Halicka l. 21. Przyjmuje wkładki na książeczki oszczędności od 1 złr. do każdej wysokości, oprocentowując je do 6% z 5-dniowem, po 7% z 14-dniowem i po 8% z 30-dniowem wypowiedzeniem. Udziały zaś członków oprocentowują się od dnia pierwszej wkładki.

Bank ojczysty dla ubezpieczeń na życie. Reprezentacja we Lwowie plac Marjacki, l. 10. Przyjmuje wnioski na ubezpieczenie ludzkie, we wszystkich kombinacjach — oraz i na ubezpieczenia małe tak zwane pogrzebowe, zaczęwszy od 50 złr., które wypłacają się w 24 godzin po śmierci ubezpieczonego.

Sokal i Lilien, ul. Hetmańska l. 8. Dostarcza nowe arkusze kuponowe do akcyj kolei Rudolfa za mierną prowizją, tudzież kupuje i sprzedaje wszelkie papiery wartościowe, i monety pod najkorzystniejszemi warunkami. Zlecenia z prowincji uskuteczniają się bezzwłocznie.

Towarzystwa Ubezpieczeń.

C. k. uprzyw. **Azienda Assicuratrice** w Tryeście (założone w r. 1822). Reprezentacja we Lwowie, ul. Akademicka l. 5. Ubezpiecza od ognia, gradobicia i na życie.

Slavia, bank wzajemnych ubezpieczeń w Pradze. Reprezentacja we Lwowie, ul. Kopernika, l. 16. Ubezpiecza od ognia, gradobicia, zabezpiecza kapitały i renty na przeżycie i dożycie, ubezpiecza wojskowych. Fundusz rezerwowy z gwarancją złr. 3,485.352 ct. 53, majątek złr. 3,052.147.

Biura wywiadowcze.

Józef Birkle. Rynek. l. 40. Pośredniczy w kupnie, sprzedaży, wydzierżawianiu majątków ziemskich i miejskich, w umieszczaniu nauczycieli, nauczycielek i oficjalistów gospodarczych, lasowych i fabrycznych, oraz służby dworskiej. Utrzymuje skład herbaty karawanowej chińsko-rossyjskiej, po cenie od 2 — 4 złr. za pół kilo, wysiewki po 1 złr. 20 cent. za pół kilo. Opakowanie bezpłatne przy zamówieniu za zaliczką. Wszelkie zamówienia listowne uskutecznia szybko i akuratnie.

Pensjonaty.

Koestlich, ul. Piekarska l 21. Instytut naukowy wojskowy, oraz Pensjonat. Nowy kurs jednorocznych ochotników i innych nauk przygotowawczych wojskowych rozpoczął się z dniem 1go marca b. r. Zgłaszać się można codziennie od godziny 4tej do 7 po południu.

Hotele.

Hotel **Kuhnów**, ulica Karola-Ludwika. Numera od 50 cent. do 1 złr. 50 cent. Restauracja. Usługa rychła i dobra.

Handle towarów kolonjalnych.

Izydor Wohl, ul. Sykstuska l. 6. Wyłączny skład herbaty rossyjskiej. Otrzymuje regularnie co tydzień świeże transporta najlepszej herbaty z Moskwy. Zamówienia uskutecznia się najrzetelniej i spiesznie także za pobraniem pocztowem Opakowanie, franko.

Organy kościelne i fortepjany.

Jan Śliwiński, ul. Kopernika l. 9. Pierwszy wyrób i skład w Galicji organów kościelnych systemu francuskiego (ekspresyjnych), rozmaitych rozmiarów i po najprzystępniejszych do wielkości tychże zastosowanych cenach. Utrzymuje na składzie pianina i fortepiany francuskie. Gwarancja lat 10.

Magazyny optyczne.

Maurycy Roscowitz, optyk, plac Marjacki l. 7. Skład towarów optycznych i narzędzi mierniczych. Urządzanie dzwonków telegraficznych, konduktorów piorunowych i reperację wykonywa po najtańszych cenach.

Celestyn Kotkowski, w hotelu Żorża. Obfity skład towarów optycznych i narzędzi mierniczych. Urządzanie dzwonków telegraficznych, konduktorów piorunowych i t. d. Przyjmuje reperacje. Ceny najumiarkowańsze.

Zakłady fryzjerskie.

Józef Turkowski, fryzjer damski i męzki, przy ul. Krakowskiej l. 8. Salon do golenia, strzyżenia i fryzowania włosów.

Odlewarnie z kruszców.

J. Schapira, ulica Kopernika l 7. Giserinia szyldów i tablic metalowych z jednego odlewu. Artystyczna pracownia szyldów i pism malowniczych. Szyldy z blachy prasowane lub wyciskane dla asekuracyjnych i innych towarzystw. Zakład rytowniczy i fabryka znaczków do pieczętowania. Przedsiębiorstwo robót malarskich i lakierniczych. Złocenia nadgrobków i pomników. Fabryka tablic nadgrobkowych tak lanych jakoteż pisanych, we wszystkich językach.

Zakłady introligatorskie.

Ludwik Wierzbicki, ul. Halicka l. 52. Zakład galanteryjno-introligatorski i fabryka wgłębianych kartonów (Passepartouts), poleca swoje wyroby jako to: dyplomy, albumy, adresa, od pojedynczych do najwspanialszych, także oprawy książek od szkolnych do najozdobniejszych i wszelkie galanteryjne roboty, także poleca kartony ozdobne, tak na pojedyncze fotografje i obrazy jako i na grupy w różnych gatunkach i rozmiarach.

Wyroby rzeźbiarskie z kamienia drzewa i gipsu.

Tadeusz Sokulski, ul. Kurkowa l. 2, w zabudowaniu ujeżdżalni. Medal zasługi z wystawy krajowej we Lwowie 1877. Rzeźby i ornamenta z drzewa, konzole, ramy, i rozmaite rzeźbione sprzęty salonowe i kościelne, oltarze, cymborja, peretrony wraz ze złoceniem, różne modele do odlewów, wykonuje z największą akuratnością.

Składy mebli i wyroby stolarskie.

Klug et Buczaniewicz, Rynek l. 36 Obficie zaopatrzony Skład mebli krajowych i zagranicznych, materje na meble, ceraty, firanki i wszelkiego rodzaju zwierciadła po cenach umiarkowanych. Zamówienia miejscowe i zamiejscowe uskutecznia spiesznie i poręcza za dobre opakowanie.

Wyroby blacharskie.

Alfred Krug, ul. Arsenalska l. 2, (obok kościoła OO. Dominikanów), ma zaszczyt polecić szanownej Publiczności swój skład i pracownię wyrobów blacharskich, wszelkie roboty ornamentowe, dachowe, tak nowe, jak i reperacje, które dobrze i w najkrótszym czasie wykonywane będą. Wszelkie zamówienia tak miejscowe, jak i z prowincji uskuteczniane są szybko, rzetelnie i najdokładniej po cenie najtańszej.

Zakłady tapicerskie.

Jan Leśniakowski, ul. Kręta, l. 7. Tapicer i dekorator, wykonuje wszelkie najtrudniejsze zamówienia tapicerskie, robi takowe gustownie i trwale, po umiarkowanej cenie, zamówienia uskutecznia szybko i sumiennie.

Zakłady szewckie.

Franciszek Gawlik, ul. Strzelecka l. 2. Pracownia obuwia męskiego, damskiego i dla dzieci, z materjału zagranicznego i krajowego. Zamówienia wykonywa szybko i sumiennie podług najnowszej mody i po najtańszych cenach.

OGŁOSZENIA.

Wyjaśnienie!

Odnośnie do artykuliku zawartego w Kronice „Gazety narodowej" z dnia 3 b. m., zauważyć muszę, iż to mnie wcale nie dziwi, że p. Abraham Majer Widrich może się na mnie gniewać, iż także nazywam się Majerem, ale temu już chyba rodzice moi winni. Jeżeli p. Abraham Majer Widrich, lub kto inny w jego imieniu z tego podobieństwa imienia i z podobnego szyldu kupieckiego wyprowadza wniosek, że dzieje się to wszystko dlatego, aby mu szkodzić w interesach, to muszę się tylko litować nad nimi. Skutkiem postępu cywilizacji, dziś już nie rozstrzyga, czy jaki kupiec nazywa się Szmul, Majer, czy Mortko, czy ma taki lub owaki szyld, lecz rozstrzyga głównie i jedynie: kto sprzedaje towar lepszy i taniej i kto w ogóle swoich szanownych gości sumienniej usługuje.

Obecny właściciel firmy **M. Majer Pruchnik** praktykował od młodości u bardzo poważnych i renomowanych kupców, a w ostatnim czasie u p. Jakóba Halbera, znanego prawie każdej pani we Lwowie pod nazwiskiem „Jakóbek Halber". Pan Jakób Halber uznawszy moje zdolności w zawodzie kupieckim, nie wahał się też wydać swoją wychowanicę za mnie. Ztąd pochodzi moja obszerna klientela, która spocząć nie daje ani chwili drugiemu Majerowi, który różnemi sposobami jak dawniej tak i teraz stara się mnie niepokoić.

Podpisany właściciel firmy

M. Majer Pruchnik

nie obawia się ani nieprzyjaznych artykułów, ani też intryg pokątnych współzawodników, przyzwyczaił się do nich już dawno i ma też pełną otuchę, że jego wielce szanowni goście, którzy z powodu doboru towarów i wielkiej taniości jego

Skład towarów bławatnych, ulica Żółkiewska, l. 7

łaskawie zaszczycać raczyli i nadal tych względów swoich mu nie poskąpią, nie zważając na zawiść konkurensów, którzy nawet ośmieszają się procesami, jakoby jakakolwiek sprawiedliwa władza mogła lub chciała zakazać mi nazywać się tak, jak mnie rodzice moi nazwali. (118-1-1)

M. Majer Pruchnik

Skład towarów bławatnych ulica Żółkiewska l. 7.

Filia c. k. uprzyw. austr. zakładu kredytowego dla handlu i przemysłu we Lwowie

będąc upoważnioną ze strony Jeneralnej Dyrekcji c. k. uprz. galic. kolei Karola Ludwika do wydawania nowych **arkuszy kuponowych do akcji c. k. uprz. gal. kolei Karola Ludwika** uprasza P. T. panów akcjonarjuszy, by chcieli przedłożyć talony od akcji wymienionych w kasie jej, od dnia 28go b. m. począwszy w zwykłych godzinach urzędowych, w zamian których otrzymają po upływie dni kilkunastu i za zwrotem kosztów pocztowych odnośne arkusze kuponowe.

Konsygnacje talonów mają być przedłożone w dwóch egzemplarzach i wydaje takowe bezpłatnie kasa podpisanego zakładu.

Filia c. k. uprz. austr. zakładu kredytowego dla handlu i przemysłu we Lwowie.

Lwów dnia 7. Sierpnia 1879. (1—?)

Odpowiedzialny redaktor i odpowiedzialny wydawca: Edward Piepes. Z drukarni K. Pillera.